

Urodziłam się w Krasnoborkach , gmina Sztabin , powiat Augustów , jako córka Władysława Sztukowskiego , który był mieszkańcem Krasnoborek . Ponieważ mieliśmy sporo ziemi , to od chwili przyjscia Armii Radzieckiej i jej zarządu byliśmy cały czas pod obserwacją .

W 1936 roku wyszłam za mąż za nauczyciela , Stanisława Surkonta . Mąż mój był nauczycielem w Mogielnikach , gmina Dębowo . Z Mogielnik , jak się wojna zaczęła , mąż mój został zabrany na wojnę , a ja z dzieckiem przyjechałam do rodziców . I stamtąd w 1941 roku zabrali nas na Sybir . Dlatego też przypominam sobie , że 23 /czerwca/ miały być moje imieniny , zawsze są 23 czerwca . Natomiast w przeddzień naszego wywozu piekliśmy ciasto , przygotowaliśmy imieniny i bardzo długo nie spaliśmy . Dopiero jak się położyłam , jeszcze nie usnęłam , przyszli nas wywozić . Godzina była druga w nocy . Już dniało , ponieważ to był czerwiec . Ojca oczywiście posadzili przy stole , i zaczęli spisywać inwentarz , ile czego jest . Natomiast mama wyszła na podwórko , i pootwierala wszystkie obory i chlewy , i kurniki , żeby nic im nie zostawić , aby to wszystko poszło w pole i na pastwiska .

Natomiast nam powiedziano , żeby się pakować . Nie zabierać żadnych kufrów , żadnych skrzyń , tylko wszystko pakować w worki , bo to będzie lepsze w transporcie . I tak żeśmy zrobili . Mieliśmy duże zapasy w przewidywaniu tego , że nas wywiozą . Mieliśmy worek mydła , dużo słoniny , wędliny i innych zapasów - kaszy , mąki . Tak , że cały duży ciężarowy samochód został załadowany , a na wierzch jeszcze , jak zajechali od nas do pani Karpowej , to jejrzeczy załadowano jeszcze na wierzch . I przywieźli nas do Jastrzębnej . Nas tam zawieźli bardzo wcześniej , bowiem nie stawialiśmy żadnego oporu . Bo ten , który przyszedł nas zawozić o niczym nie decydował . Tylko wykonywał rozkazy . Więc ja mówię - co my będziemy się z nim sprzeczać , oni nam mogą nie pozwolić nic zabrać ze sobą . A oni do nas - chwacit , wy użę mnoga wziali . A ja - wam tożę bolsze ostało . Więc oni nawet pomogli mi ze strychu pościągać różne rzeczy .

W Jastrzębnej do wieczora zwozili tych wszystkich , którzy byli przeznaczeni do wywiezienia . Było tego 10 wagonów . W nocy przewieźli nas do Augustowa . W Augustowie , następnego dnia z rana 21 czerwca , już szedł front , już były naloty niemieckie od strony Prus .

Do Grodna wieźli nas cały dzień . 60 kilometrów . Były tak przeładowane wagony , a było ich 56 , był tak przeładowany pociąg , że sypali piasek na szyny aby zwiększyć tarcie . Ponieważ był upał , a wagony były przeładowane koła pociągu ślizgały się w miejscu . Tak więc dopiero wieczorem przewozili nas przez Niemen . Transport nasz ruszył z samego rana . Dopiero szarzało . Jeszcze nasi krewni z Augustowa przynieśli nam ziemniaków , cukru , herbaty . Co tam kto mógł . Cały pociąg był oblężony , ale dopuszczano jeszcze do niego .

Z naszej rodziny wywiezieni byli Krzywińscy , Zawistowscy , Tomaszewscy z Janin . Połowa rodziny znalazła się tym ostatnim transportem na zsyłce . Więc myśmy się trzymali tak , żeby już rodziny nie rozpraszać , żeby była ta rodzina w tej samej przynajmniej miejscowości .

Wieźli nas trzy tygodnie , jak dzień tak i noc . Przywieźli nas po 10 lipca . Na stację Son . Na tej stacji trzymali nas cały pierwszy dzień . O nic nie pytali , zakwaterowali nas w szkole , powiedzieli , że możemy sobie tutaj chodzić . Nieopodal była rzeczka . Zaczeliśmy w tej rzeczce prać , myć się . Jak nas wieźli , dawali nam tylko dwa wiadra wody z których trzeba było zjeść , umyć się , i zostawić wodę do picia .

W trakcie jak nas już wieźli z Grodna , transport nasz został zaatakowany i ostrzelany przez niemieckie lotnictwo . Część wagonów uległa rozbiciu . Wiele osób było rannych i zabitych . Korzystając z tego zamieszania matka moja wyszła sobie z wagonu , i dwa tygodnie szła torami kolejowymi , i przyszła do domu .

Jak już znaleźliśmy się na tej stacji Son , to dopiero na drugi dzień rano zjawili się przedsiębiorcy kołchozów i sowchozów .

I rozpoczął się werbunek . Temu nada płatnika , temu innego majstra . A kobiet z dziećmi nie bardzo chcieli brać . Ale ponieważ byliśmy rodziną ojciec powiedział , że inaczej nie pojedziemy jak całą rodziną . Tak przywieźli nas do Kapion , na kwaterę dali nam świetlicę , taki krasnyj ugałok , i myśmy tam zamieszkali . Ojciec zaraz zrobił jakieś prycze , postawił płytę . A przez cały czas przychodziły do nas Rosjanki . Ot mówią - smotri , kak rebionok odiet , kakaja posuda . Jak jedna odchodziła , to zaraz przychodziła druga . Więc myśmy dawali im gościńca . To kawałek mydła , to jakieś lekarstwo . To nam zaraz naprzymosili jaj, mleka , a ponadto priedsiedatiel wypisał nam zaraz , że możemy dostać chleba , mleka dla dzieci po litrze . Więc my zaprosiliśmy tego priedsiedatielia kołchozu , głównego księgowego i z czemodana wyciągneliśmy ukrytą wódkę . Jak ich poczęstowaliśmy , przyjaźń była od pierwszego wejrzenia . Myśmy się nie kłócili , nie awanturowali , bo wiedzieliśmy , że to absolutnie nic nie pomoże . Ojciec ciągle nam mówił , żeby za dużo nie mówić , nie złorzeczcie bo to i tak nic nie da . I tam myśmy byli rok , aż pani Karpowa skontaktowała się z nami . Przyjechała bowiem jako mąż zaufania Delegatury w Krasnojarsku . Spotkaliśmy się na zebraniu , gdzie wydawali nam paszporty w trzech językach .

Pani Karpowa była też kobietą bardzo obrotną . Ona też się bardzo zaprzyjaźniła z ludźmi , bowiem ona szyła na maszynie . Pozostałe kobiety , jak jej bratowa - pani Mroziowska , chodziły do kołchozu . Ona dobrze żyła z naczelnikiem poczty , a ten ją informował o wszystkim co przeczytał , co się dzieje , jakie są ruchy Polaków . Że jest delegatura w Krasnojarsku , że pan Mieszkowski jest głównym Delegatem . I ona od priedsiedatiela kołchozu dostała komandirowkę , żeby móc kupić bilet przy okazji trzeba było mieć także zaświadczenie z łaźni i woszobojki . Do Krasnojarska jechało się jakieś 22 godziny . I ona pojechała do tego Krasnojarska . A ponieważ dojechała tam pierwsza , i mało jeszcze takich ludzi odważnych się zgłosiło , to otrzymała pełnomocnictwo , żeby opiekowała się powiatem Bograd .

Tam było wielu ludzi ze Sztabina . Ten był kiedyś wójtem , ten

innym ważnym urzędnikiem , więc jej ciągle przeszkadzali , ale ona się nie zrażała i robiła swoje .

I wtedy ona zaczęła działać , żeby założyć dom dziecka . Kiedy była w Krasnojarsku , ją uświadomili , że to wolno . Że pomoc będzie dla tych Polaków , którzy się zorganizują . Którzy założą jakiś atrel , czy jakąś szwalnię , czy się wezmą za coś innego . A w Bolszoi Jerbie było dużo dzieci , a matki same . Jej bratanicy dzieci było czworo , pani Ty-szowej było pięcioro . Więc ona chciała choć najbliższym pomóc . A potem jak to się rozprzestrzeniło , i jak ja już tam przyjechałam , to najpierw było 30 dzieci , a potem ponad 100 .

Po amnestii , to przybywały dzieci z północy , z tajg , z województwa lwowskiego i tarnopolskiego . Byli to ludzie z wcześniejszych deportacji , którzy byli wolni , i mogli się już osiedlić gdzie chcieli . Nie wolno było tylko przebywać w miastach pow. 100.000 mieszkańców , oraz 300 km. od granic . Sporo ludzi przemieściło się do Taszkentu . Ale z naszego powiatu Bogrod tylko trzy rodziny . Natomiast pozostali dokońca przebywali w tym rejonie .

Do Jerby ja przyjechałam najpierw sama , a potem dopiero mój ojciec i siostra dojechali , i tam pracowaliśmy w tym domu dziecka . Do pomocy przysłali nam z Krasnojarska dwie panie nauczycielki . Potem choć już nie było potrzeby jeszcze kilka , tak , że personelu było już nawet ponad miarę .

Ja kierowałam tym domem dziecka ponad dwa lata . Lecz kiedy powstał ZPP to ja przeszłam do pracy w ZPP , a kierownikiem został pan Karpiński , który nie pojechał z nami , bowiem kupił dla domu dziecka kradzionego konia . Podpadł , został aresztowany i nie wyjechał razem ze wszystkimi , ale widziałam go gdzieś w Polsce , więc wrócił .

Ja miałam układy jeszcze w Kapionach , gdzie się zaprzyjaźniłam z przedsiębiorcą i jego żoną . I potem , jak ten dom powstał , to nie było ani krowy , ani konia , dosłownie nic . To ten znajomy ,

pożyczył nam na wiosnę 5 krów . Pożyczył , bowiem oddać nie mógł . Ale tak kontrola nie miała się do czego przyczepić . Dopóki dom dziecka jest czynny krowy są u nas . Jak się rozwiąże , krowy wracają spowrotem , I na tej zasadzie myśmy mieli zagospodarowany ten dom dziecka jak nikt inny w okolicy .

Ojciec mój był taka złota rączka . Wszystko sam zrobił . Zaprzęgi , sanie , i krowami żeśmy orali . Woziliśmy drwa , byliśmy samowystarczalni . W ten sposób ten dom dziecka funkcjonował od strony gospodarki .

Jak w czasie kryzysu aresztowali Mieszkowskiego , to przysłali nam z wydziału oświaty Rosjanek na dyrektora . Julia Andrejewna Kluszczyk . Głos jak z beczki , stara panna ale do życia . Wy - powiedziała - Wanda Władysława budietie zamiestitielem diriektora po uczebno-wospitatielnoj czasti . Ona była głównym dyrektorem . Ubrała się tam , odkarmiła jak nie wiem co , i tam działała . Do końca głównym dyrektorem tam , to była już ona . Natomiast cały personel , to byli Polacy .

Jak powstał ZPP i rozpoczęły się sprawy repatriantów , to ja już poszłam do tych spraw . Natomiast pani Karpowa do końca była tam zamiestitielem direktora po choziajskoj czasti . Była od spraw gospodarczych i razem z moim ojcem tam rządziła .

Działalność domu dziecka była czysto polska . Myśmy tam obchodzili święta polskie , za które nas ścigali , a myśmy odpowiadali , że to tradycja . Nas oskarżano , że my uczymy dzieci religii . A u nas normalnie rano i wieczorem była modlitwa , tak jak przed wojną w internatach w Polsce . Ja przed wojną byłam w internacie , w seminarium nauczycielskim w Suwałkach , a tam modlitwą zaczynał się dzień , i kończył się dzień . Pierwsza przed nauką , a druga po kolacji . I my tak samo postępowaliśmy w domu dziecka . A nie raz nas pytali , czemu to my religijne święta obchodzimy ? A my odpowiadaliśmy , że to nie religijne , tylko polskie , że taka jest nasza tradycja , i my od tradycji nie mamy zamiaru odstępować .

W ten sposób wystawialiśmy Jasełka . Bardzo się tam wszystkim podobała scena składowa , którą ojciec zrobił . Na przedstawienia przychodził cały kołchoz . Drzwi się nie zamykały , tyle ludzi przychodziło . A priedsiedatieli kołchozu też potrafiliśmy obejść . Potrafiliśmy załatwić wszystko z przedstawicielem oświaty na powiat . Często udzielaliśmy im pożyczek z własnych pieniędzy , dawaliśmy im duże prezenty , byli bowiem ogromnymi łapówkarzami , ale dzięki temu mogliśmy tak utrzymywać ten nasz dom dziecka . Oni nam przydzielali dodatkowe racje żywności , ubrań , materiałów , bowiem dzieci przez lata rosły , a trzeba je było w coś ubierać , i karmić .

Z modlitwami , to była jedna sprawa . Inny problem był ze świętami narodowymi . To po cichu , trochę bardziej w ukryciu , ale my nie mówiliśmy wtedy , że się modlimy , tylko , że organizujemy konkursy . Na tyle byliśmy sprytni , że udawało się nam te zakazy obchodzić .

Priedsiedatiel Bolszoi Jerby był z nami bardzo zaprzyjaźniony . Wypisywał nam zawsze miodu , bowiem były tam pasieki . Jak on nam wypisze beczkę miodu , to my przy żniwach więcej pomożemy . To on nam za to kaszy więcej wypisze , mąki . Wszystko to było po to by przeżyć .

Jak powstała armia kościuszkowska , bo do Andersa mało osób z naszego rejonu się dostało . Tylko poprzez poszukiwania kilka osób odnalazło swoje rodziny w Bolszoi Jerbie . Jak część tych osób opuszczała Rosję z Anderssem , to zabrali te rodziny ze sobą . Natomiast mój ojciec zaprzyjaźnił się z leśniczym . To był stary człowiek , który sam przeżył rewolucję . On to mówił nam - nigdzie nie jedźcie , człowiek lepiej znosi zimno niż upały . Tam wy nie jedziecie na rozkosze , ale do pracy , a tu jesteście już jak na swoim . Tu czekajcie końca wojny , Tak też i zrobiliśmy . Przyszło wprawdzie oficjalne zaproszenie nas do Indii , gdzie zapraszano cały dom dziecka . To było jeszcze od Andersa , Ja pojechałam z tym do Bagradu , do wydziału oświaty w komitecie , gdzie przedstawiłam to pismo . Oni poprosili by je zostawić do rozpatrzenia . I jak u nich zostało , tak i przepadło bez śladu . Natomiast jak powsta-

ła Armia im. T.Kościuszki wezwano mego ojca , by to powiedzieć . No tak - mówią - działa już wojsko polskie , jest armia , ale jakim tam generałem jest Kościuszko .

W ramach pomocy dla naszego wojska robiliśmy im skarpety , szalik wełniane , szyliśmy woreczki na tytoń , i to wszystko posyłaaliśmy na front . Dzięki temu , i korespondencji mieliśmy stały kontakt z armią.

Nasz dom dziecka mieścił się w kilku pomieszczeniach . To nie był budynek przystosowany i skanalizowany , i oświetlony . To były budynki po jakichś handlowych spółdzielniach . Przyszła wojna , towarów nie było , więc oddano je nam . Dom dziecka mieścił się w 9 domach . Część to były przystosowane sypialnie , część inne pomieszczenia . Głównego personelu było 18 osób .

Jak już przyszedł okres repatriacji , to kto z dzieci miał rodzinę - ojca , matkę , czy ciocię , to tych wszystkich porozbierano . Ja sama pojechałam jako kierownik pierwszym transportem z dorosłymi , z polecenia ZPP wiozłam cały ten powiat . Te dzieci , które zostały , wracały kilka tygodni później . Cały ich transport dojechał do Gostynia na . Nasz transport opuszczał Bolszoją Jerbe 10 marca , a na Wielkanoc byliśmy już w domu . Moja siostra , która była wychowawczynią w domu dziecka wracała razem z dziećmi . Nas witała już mama na gospodarstwie , ale braci w domu nie było . Mego męża aresztowali przed naszym przybyciem w 1945 roku w tej blokadzie Augustowa . To było 14 lipca 1945 r. Ja przyjechałam dopiero w marcu już w 1946 r.

W ramach wyżywienia w domu dziecka otrzymywaliśmy tzw. pajok , to jest mąkę , z której piekliśmy sami chleb . Był duży piekarnik , gdzie codziennie , lub co drugi dzień , wcześniej rano piekliśmy chleb . Przy kuchni była pomoc , a posiłki były trzy razy dziennie . Chleba na dzień było po 400-500 gr. Ten pajok obowiązywał wszystkich . Ponieważ personel pedagogiczny nie pracował w kołchozie , także otrzymywał pajok cukru . Natomiast w domu dziecka przydział wynosił 400 gr. na miesiąc . Mięso dostawaliśmy na przydział . Tak samo cukier i mąkę . Poza tym my

mieliśmy swoje gospodarstwo rolne . Dzięki temu mieliśmy swoje ziemniaki , swoje warzywa . Do swojej dyspozycji dostaliśmy kilka ha ziemi . Czasem były tak suche okresy , że tyle co posadzono , tyle nakopano , bo nie spadła kropla deszczu . Więc my na rok następny wykonaliśmy pod komędą mego ojca nawodnienie dookoła naszego pola . Z rzeczki doprowadziłem wodę i kilka razy zatopiliśmy te swoje pole jak w Chinach . Ale dzięki temu wszystko nam wyrosło . Ziemniaki , kapusta , ogórki . Potem dostaliśmy beczki , i na zimę jarzyny mieliśmy swoje .

Na obiad zawsze była zupa . Mięso , jeżeli było , to drobno pokrajane do tej zupy . Rano była kasza manna , bo otrzymywaliśmy przez UNRA kaszę , grochówkę sypką . Ta grochówka , ziemniaki , trochę tłuszczu i drobno krajanego mięsa składało się na obiad . Rano kawałek chleba , nie zawsze smarowanego , bo nie zawsze było czym , i kawa . Jak było mleko , jak krowy dawały mleko , to była kawa z mlekiem . Jak nie dawały , to była kawa czarna , trochę słodzona . Na kolację była najczęściej kasza . Albo manna , albo inna gdzieś kupiona , lecz było to szalenie kłopotliwe . Dostawaliśmy jeszcze z przydziału konserwy , to je dawano czasem do chleba po parę łyżek .

Personel też się żywił w domu dziecka . Wychowanków było od 100 do 130 , co wraz z personelem dawało armię ludzi do wyżywienia .

/Koniec zapisu . Kasetę I str.1 . Zapis str.2 ./

Dzieci chorowały . Głównie na szkorbut . Ale jak tylko przyszła wiosna i pojawiły się zioła i kwiaty , a więc witaminy staraliśmy się temu zapobiec . Aby tylko się jakaś trawa pojawiła dzieci nie pytane , nie zmuszane szły na łąkę po witaminy . Głównym lekiem był wtedy dziki czosnek . Była przydzielona do naszego domu siostra , która pracowała w ośrodku zdrowia . Przychodziła do nas dwa razy w tygodniu badać nasze dzieci , ale nagłe i ciężkie wypadki dostarczaliśmy do szpitala . Bardzo męczyła nas febra i malaria . Nad Jenisiejem malarii było kilka gatków . Była sypna , była taka , że pęcherzami zносиła ciało . Chory

dostawał bardzo wysokiej gorączki . Na następną dzień wszystko wracało do normy . Człowiek mógł chodzić , mógł pracować , tylko był bardzo osłabiony , do następnego ataku . Ja osobiście jak zachorowałam na 1 Maja , to dopiero na Boże Narodzenie byłam całkowicie zdrowa . Całe lato . W ramach leczenia , każdy kto był zarejestrowany , dostawał chininy . Także żółty proszek . A niezależnie od tego farbowano sobie tą chininą bluzki .

Życie było bardzo urozmaicone . Jak organizowaliśmy jasełka , to nie było ani kolorowego papieru , ani kleju , ani niczego . Kupiliśmy więc gęś , zarżneliśmy , i ze skrzydeł i piór wykonaliśmy skrzydła aniołom . Z podomek i innych skrawków materiałów uszyliśmy stroje dla Heroda i innych postaci . W ten sposób organizowaliśmy nasz wolny czas .

W tym czasie w naszym domu dziecka zmarło tylko jedno dziecko , ponieważ przyjechało tak osłabione , iż na ratunek było już za późno . Do nas przywożono dzieci z innych domów dziecka . Były to nie tylko dzieci polskie . Trafiały się też dzieci rosyjskie , które się moczyły , które były chore . Wszawica , grzybica i co tylko zapragnąć . Walczyliśmy z tym ile sił , żeby jednak te dzieci uchronić .

Codziennie dzieci chodziły do polskiej szkoły , która istniała przy domu dziecka , odrabiały lekcje . Szkoła obejmowała wszystkie dzieci od 1 do 4 klasy szkoły podstawowej . Potem dzieci uczęszczały już do szkoły rosyjskiej . Szkołą była jadalnia . Po śniadaniu sprzątało się ze stołów , i zaczynały się normalne zajęcia lekcyjne w tej sali . Sal takich było kilka , dla poszczególnych klas . Ale i dzieci nie było tak dużo do nauki , 7 - 10 dzieci na klasę . W domu dziecka było bardzo dużo małych dzieci . Dla tych odbywały się zajęcia jak w normalnym przedszkolu . Dzieci chodziły na spacer , na jagody , wychowawcy prowadzili te dzieci do kołchozu . Latem pomagały nosić drzewo , wodę z pobliskiej rzeki . Studni nie było , do rzeki nie za daleko , a personel sam nie miał jak tego robić . Co tydzień była bania , bowiem dzieci trzebabyło przynajmniej raz w tygodniu dokładnie pomyć , i zmienić bieliznę .

Mieliśmy w domu dwie praczki , które ręczni prały tą całą zmianę . Trzeba to było wysuszyć . Była specjalna pani , która się opiekowała stanem bielizny . Bielizna była i łatana , i cerowana , i nowa . Różna . Raz dostaliśmy z Krasnojarska 100 cienkich , mocnych koców z flaneli . To z tych koców były i koszule , i sukienki , wszystko do noszenia . Tak jak wszystkie domy dziecka dostawaliśmy przydział satyny . Pamiętam , jak przywiozłam 300 metrów takiej satyny . Z powodu ubrań ciężko było się komukolwiek poruszać . Ten nie miał butów , ten czegoś innego , a ja miałam wszystko . Dlatego jeździłam .

Często wyjeżdżałam na wyprawy do Krasnojarska . Po prowiant , po przydziały i inne zaopatrzenie . Pociąg chodził do Krasnojarska raz na dwa dni . Przed wyjazdem poza kupieniem biletu , trzeba było przejść przez tzw. prożarkę . Trzeba było się rozebrać , a rzeczy oddać do takiego pieca . Ja nie potrzebowałam , żeby ona mi paliła moje ubranie . Więc jak jej dałam 5 rubli , to ona wystawiała kwit od ręki . Potem bilet , i w drogę . Do Krasnojarska jechało się dobę . Tam wśród Polaków mieliśmy znajomych , gdzie się zatrzymywałam na nocleg . Rano trzeba to wszystko pozbierać . Najpierw po kantorach , żeby ci wypisali , potem po magazynach , w różnych częściach miasta , żeby wydano to co trzeba . W Krasnojarsku chodziła już miejska komunikacja , były trzy duże drewniane domy magazyny , kilka murowanych . Krasnojarsk był głównym centrum władzy . Odpowiednikiem powiatu był Bograd , a województwa Abakan . Do Krasnojarska było 500 km. , do Abakanu 80 km. , do Bogradu 15 km. Część rzeczy załatwiano się w Bogradzie . Były to przydziały mięsa , mąki , chleba - to wszystko tam . Natomiast jeżeli chodziło o materiały piśmienne , podręczniki załatwiał to Abakan . A koce , konserwy to już była sprawa Krasnojarska .

Pewnego razu wybrałam się wraz z jedną panią do Krasnojarska po przydział . Dostaliśmy trzy bele materiału i 20 kartonów konserw . I ta moja pani pomocnik zachorowała . Dostała wysokiej temperatury . Więc ja pozbierałam te podpisy , chyba w trzech miejscach - jeden od manufaktury , drugi przydziału żywności , trzeci skąś tam jeszcze . Potem wynaję-

łam sanie do przewozu tych rzeczy . A to nie wiadomo , gdzie jeszcze tych magazynów szukać . Przyjechałam na dworzec , cały czas tylko na szklance herbaty rano , zapowiadają , że idzie pociąg . Stoimy w kolejce , a ludzie różne rzeczy nadawali , do tej wagi która przyjmuje , aż tu trzy osoby przedemną szlaban zamknięto , i czekaj następne dwa dni . A Wigilia na następny dzień . I przede mną stoi taki jeden pan , który zdawał jakieś beczki . Ja się już zaczęłam modlić . Myślę sobie , jak mi już Pan Bóg nie pomoże na Wigilię dobrać z tym wszystkim , a tam już czekają na mnie , to ja tu już zginę . Bo gdzie to wszystko teraz zmagazynować . Kto to będzie pilnował ? Toż to cała noc , i dwa dni . Do żadnego mieszkania to nie wejdzie . Bo to olbrzymi bagaż . Ale tu zapowiadają , że pociąg jest opóźniony o dwie godziny . Ja mówię do tego pana przede mną - niech pan weźmie 100 rubli , i idzie coś zrobić . Ja popilnuję panu rzeczy , a pan może coś załatwi . Dwie godziny , to jeszcze kupa czasu . On poszedł . Nie było go pół godziny , ale jak wrócił , to od nas bagaż przyjęli . To jak długo żyję zawsze solidną ofiarę daję w ten dzień dla Dzieciątka Jezus . A ta moja pomocnica przyjechała dopiero po świętach , tak była przeziębiona .

Na stacji Son załadowałam się na samochód opalany na gaz drzewny , jedziemy , droga zawiana , teren górzysty - 2000 m. n.p.m. , i ten nasz samochód się wywrócił , wysypało się wszystko , i przykryła nas skrzynia . Na szczęście to wszystko się wydarzyło sześć kilometrów za Sonem . Ale zaraz zdobyto samochód inny , ten zostawiono , rzeczy zabrano na pakę , ale i tak trzeba było ze swej kieszeni dołożyć do tego interesu , żeby to przywieźć , żeby to doszło . A w jakim stanie ja przyjechałam , to tylko wiedziałam ja .

Do nas nic nie docierało . Ani spirytus , ani nafta , ani zapalki . Wszystko trzeba było kupować kradzione . Ale skąd brać tą naftę , jak nam do oświetlenia , dziennie potrzeba było 2 - 3 litry . Więc kiedyś ukradliśmy całą beczkę . Ale gdzie to schować , beczka nie taka mała .

Wpadliśmy na pomysł , by umieścić ją w szkole . W nocy otworzyliśmy szkołę . Zaciągneliśmy tą beczkę do szkoły , do piwnicy , i po cichu nosiliśmy tę naftę dzbaneczkiem . Ale całą zimę się świeciło . Trzeba było żyć . Dzieci nie zostawi się po ciemku .

Personel , z którym pracowałam powoli , od momentu mego przybycia był uzupełniany . Krasnojarsk prócz dzieci przysyłał nam nauczycielki , młodsze dziewczęta były wychowawczyniami , nauczycielkami , a już miejscowi ludzie pracowali jako personel pomocniczy . Pracunki , sprzątaczkі nocne dyżurne , opiekunki . Ale i pracy był ogrom . Dla przykładu bania Trzeba było tej wody nanosić , podgrzać , te dzieci wykąpać , ubrać , często na trzaskającym mrozie doprowadzić do sal . Trzeba było tak ich otulić , żeby po drodze z tej łaźni do domu nie zamarzł . Bo jak pan wyciągał wiadro wody , i rozlał trochę wody pod wołoków , i przycisnął , to już nie było jak tych wołoków oderwać . Takie były mrozy .

Paliło się dzień i noc . Do tego trzeba było dyżurów , żeby dzieci nie zaczadziały . A od mrozów piece pękały , które i tak sami żeśmy stawiali , bo w magazynach nie było pieców . Prace te przeważnie ~~wykonywa~~ wy konywał mój ojciec . Ostrzenie kos , roboty ciesielskie , wszystko . Zawsze zresztą coś się psuło . A wieczorami siadał i opowiadał dzieciom różne bajki . Miał dar opowiadania bajek .

W większych skupiskach polskich organizowano ZPP . Nie raz się zastanawiałam , czy słusznie postępowałam . Ostatecznie to byli komuniści . Ale z drugiej strony , będąc na wygnaniu , jeśli istniała choć nie ~~mała~~ szansa na powrót do kraju , to mimo wszystko , trzeba się tego trzymać . A tym bardziej przy pracy z dziećmi , sierotami . Tu nie ma miejsca na sentymenty . W jakiś sposób te dzieci trzeba było dowieźć

Jako delegatura ZPP poddawani byliśmy licznym kontrolom . Zarówno z Abakanu , jak i z Moskwy , czy Krasnojarska . Raz przyjechał do nas taki pan Ziemiński i pan Kaufman - Żyd , jako kontrola ZPP . Siedzieli oczywiście trzy dni , dobrze im się powodziło . Dzieci się popiswały różnymi okolicznościowymi wierszykami . Odnieśli dobre wrażenie ,

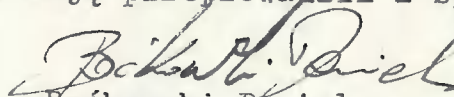
i ZPP już potem patronował naszemu domowi . Jak przyszła już repatriacja , każdy musiał mieć dokument , że jest Polakiem . A wystarczyło czasem nawet zaproszenie na ślub , świadectwo szkolne , co kto miał . A jeżeli nie było niczego , to wtedy świadkowie . Dzięki naszemu przedsiębiorcy , stworzyliśmy w naszej wsi taki punkt , gdzie przeprowadzano przesłuchania świadków , i wydawano potwierdzenia obywatelstwa . To wszystko wykonywał ZPP . Ja od początku pracowałam w takiej komisji przygotowując powrót do kraju . Wszystkim rozpoczęto wydawanie paszportów i zaświadczeń dotyczących wyjazdu .

Kiedy rozpoczęto repatriację , każdy kołchoz , na terenie którego znajdowali się Polacy , miał obowiązek dostarczyć obywateli polskich na stację Son . Na stacji stały przygotowane wagony , w których rozmieściliśmy 15-20 osób . Wieźli nas w stronę Krasnojarska , a po drodze doczepiali wagony na innych stacjach . Nas , tak jak na Sonie odczepili w 1941 roku 10 wagonów , tak i wracaliśmy prawie w tym samym składzie . Tak jak nas z tej Jastrzębnej zabrali , tak te 10 wagonów w Sonie odczepili , a ci którzy byli zabrani w Augustowie , pojechali dalej . 80 km dalej , do Abakanu . A dowiedziałam się o tym przypadkowo od jednego Żydka . Jeździł po kołchozach , zbierał siano do wojska . Przyszedł do nas na noc , i jak zaczęliśmy rozmawiać , powiedział , że w Abakanie są Polacy . Ja potem dałam jemu dane moich krewnych z Augustowa , a potem ciocia przysłała list . Potem na piechotę , te 80 km. , przeszłam zobaczyć się z rodziną . Trochę podjechałam okazją , i w ciągu dnia dotarłam do miasta .

W czasie powrotu , każdy z nas miał tę swoją grupę pod opieką , a sam podlegał kierownikowi całego składu . U nas to była chyba pani Kosinowicz . W wagonach , każdy miał ze sobą prowiant swój własny , oraz specjalny przydział . Konserwy , mleko kondensowane , inne produkty . W efekcie do Krasnojarska myśmy nie dojechali . Nas zgrupowano na stacji węzłowej w Aczyńsku . Tam dano nam gorący posiłek . Ale najczęściej gotowało się w wagonach . W każdym wagonie stał piecyk . Tu każdy

mógł sobie ugotować co tam miał . W ten sposób dojechaliśmy do Brześcia
Na granicy . ktoś odkrył , że zgubił dokumenty , to go przemyciliśmy .
Pomagaliśmy sobie wzajemnie , wracając z radością do kraju . W Brześciu
była kontrol . Sprawdzano listy i paszporty . I z Brześcia dojechaliśmy
do Białegostoku . Tu z PURu otrzymaliśmy transport wojskowymi samocho-
dami do swóich domów .

Relację przeprowadził i spisał


Boćkowski Daniel